Adam Czerbak.

Zlot w Pradze.

1901.



JASŁO.

1902.

Szanownej Redakcyi

„Głosu narodu"

Kraków

z prośbą o ocenę w łamach szanownego pisma. —

[illegible]

[illegible] 27/1 902

„Zlot w Pradze."

Jasło. — Drukiem L. D. Stoegera i Syna.

Adam Czerbak.

„Zlot w Pradze."

1901.

JASŁO.

1902.

Czcigodnemu Wujowi

X. Stanisławowi Paszyńskiemu

proboszczowi w Przeciszowie

żołnierzowi w walce o niepodległość Ojczyzny,

członkowi honorowemu Bursy tarnowskiej i wielu towarzystw, etc.

w dowód głębokiej wdzięczności

składa

AUTOR.

»Jeszcze Polska nie zginęła
»Póki my żyjemy!........

I.

Lecí — leci — chmura ptactwa,
z daleka — z daleka —
rozmachana — niewstrzymana,
gdzieś w Czechy — ucieka!
rozwinęła szare pióra
i szpony zacisła —
i czerwoną pierś odkryła,
jakby krwią obtrysła...

Lecą — lecą — sokołowie
niewstrzymanym lotem,
a tak szybko, że im skronie
operlą się potem;
czapki tylko czarno-szare
na ucho poprawią,
i sokole piórko głaszczą
i na wiatr nadstawią.

Lecą — lecą, gdzieś daleko
a pewnie na święto;

bo ich niesie zapał wielki,
siłą niepojętą.
Czy to wojna jaka nowa
wybuchnie mój Boże?
że tak lecą te sokoły,
jakby gdzieś za morze?

Ani broni u nich widać,
tylko zapał wielki,
że przed nimi się ugina
czołem — naród wszelki.
Musi tam być wielkie święto,
kiedy tak się spieszą
te sokoły nasze, szare,
a tak się już cieszą.

Musi tam być wielkie święto,
kiedy tak z daleka,
nasze ptactwo, rozmachane,
leci i ucieka....
„Jeszcze Polska nie zginęła!“
słychać chór potężny,
z każdej piersi rwie się w niebo,
głos wielki, mosiężny;
jak nasz Zygmunt nad Krakowem
gdy sercem uderzy,
to głos jego w całej Polsce
prawie, że się szerzy.

Lecą — lecą, sokołowie
do swoich — do naszych,
by spróbować na obczyźnie
pokrewnych piór laszych,
by w rodzinnem, swojskiem kole
pokrzepić swe siły,
i pokrewne nam od wieków,
odwiedzić mogiły;
bo ich witać ma niedługo,
spokrewniony naród,
bo obudzić ma się w duszy
wspólnej walki zaród.
Bo się ogień ma wydobyć
z tlejącej iskierki
i wnet powstać ma ten naród
nieszczęśliwy — wielki.

Jasnym rankiem, po raz pierwszy,
stanęli na ziemi
wielkiej — czeskiej. Po raz pierwszy
piórami szaremi
powitali się sokoły
i dłoń swą uścisli,
po raz pierwszy pierś czerwoną
do bratniej przycisli.

Coś wielkiego będzie w Pradze,
bo się naród stroi

w strój świąteczny, narodowy
i wszędy się roi.
Zlot nielada, zapowiada
uroczystość wielką,
i przygarnia do swej piersi,
narodowość wszelką.

Oj! żeby to niebo dało,
jak najprędzej żniwo,
żeby można zagrać w surmy
i poskoczyć żywo;
żeby można do tej ręki
w czerwonej koszuli,
wziąć żelazo — lub pozwolić
nazbierać jej kuli!.....
Oj! żebyto niebo dało,
tak w zwartym szeregu,
z Karpat szczytów, dłoń wyciągnąć
do Bałtyka brzegu;
żeby można, to sokole,
piórko kulom wskazać,
i koszulę tę czerwoną,
krwią wolną pomazać!
Toby nawet śmierć się zlękła,
bobyśmy nie czuli
bolu, ani krwistej plamy
w czerwonej koszuli.

Coś to będzie, — coś to będzie,
bo się naród mnoży,
coraz więcej, coraz silniej,
i bardzo się sroży!
Z całej Polski się zjechali,
w szeregu stanęli,
i dłoń czeską — dłonią polska
serdecznie ścisnęli!
Praga złota się ubrała
w strój odświętny, — nowy,
w każdem oknie niemal wieje,
kolor narodowy.
Czesi rwą się; — krzyczą: „Czołem“!
„Polska niechaj żyje“!
a łez widno w każdem oku,
a czyjeż to? — czyje?
Łza radości polsko-czeska,
świeci w każdem oku,
i radości i wesela,
pełno jest na okół.

Powitali — tak serdecznie
na czeskim zagonie,
że aż serce rwie się z ciała,
a bije, jak w dzwonie.
Obsypali nas kwiatami,
a my ich nawzajem,
że się zdało, iż ta ziemia

stała się dziś — rajem;
że się zdało — iż w tryumfie
wchodzimy w te mury,
że się niebo całe cieszy,
z Czechami gdzieś z góry.

Słychać zdala, że Francuzy,
Czechów przyjaciele
przyjechali, i Moskali
zobaczysz tam wiele;
że i Serbów będzie sporo,
pono z Czarnogóry
i Kroaci mają przybyć,
a może jest który.

Oj! ta Praga — wielka, złota,
jakże się cieszyła
Sokołami — Polakami,
że ich zobaczyła!
a te Czeszki — jak serdecznie
rzucają kwiatuszki,
gdy ujrzały koło siebie,
żołnierzy — Kościuszki!
gdy ujrzały w naszem oku
łzę podobną sobie,
łzę serdeczną, niekłamaną,
ani nie w żałobie.
Bo to serce każde lasze

jak młotem waliło,
tak, jak gdyby kosynierom
coś kosy ostrzyło.
I koszula tylko krwista
pierś wstrzymuje wzdętą,
a na okół czuć wesele;
w Pradze — wielkie święto.

II.

Gore! gore całe niebo!
a Praga się pali!
żarem bucha, jakby z kosy
rozpalonej stali!
Miljon świateł zewsząd płonie,
jakby się noc w dzienne
światła suknie przyodziała
i lica promienne
pokazała, i odbiła
w mieniącej Wełtawie.
Widno w Pradze, widno także
w każdem sercu prawie.

Teatr cały i Zofina
światłami zabłysły,
festonami świetlanymi
czule się uścisły,
a w tym blasku, gdzieś z Petrzinu
nieborosłej wieży
wpadł słup światła elektryczny,
nad Pragą się szerzy.
Widzi każdy — na tle nieba
u szczytu wieżycy

jasnej całej — gorejącej
żarem błyskawicy,
kształt świetlany, ukochany,
ubrany w czerwone
drobne gwiazdki, — drogą Czechom,
królewską koronę.
Ta korona, tak się pali,
tak mieni w brylanty,
że się każdy wiek dziejowy,
widzi nie zatarty.
Patrz! mówiono, tam — Hradczany,
a w skarbcu — zamknięta
ta korona na sześć zamków
nietykana — święta;
a tam z wieży taka sama
wolna się odbija,
jakby z czoła królewskiego,
jak imię Maryja
z poszarpanych szmat sztandaru
wolne od pocisków,
żyje wiecznie — błyszczy wiecznie,
od światła odbłysków.

Na Zofinie rojno, tłumno,
tłum się tłumem tłoczy,
jedni na blask oślepione
obracają oczy,
inni znowu po przed stopy

patrzą — bo gazony,
ogrodowe — w elektryczne
ubrano wazony;
tak, że jasno ponad głową
od długich festonów
rozwieszonych — elektrycznych,
ogni milionów.
Serce rośnie — tak miłośnie,
tak miłością taje,
że doprawdy, jakby w Polsce
wolnej nam się zdaje.
Jakby jakie — wielkie święto
przyszło odrodzenia,
jakby wielka chwila przyszła
urzeczywistnienia
naszych marzeń.

A Wełtawa
cicho w dal ucieka,
coraz raźniej, tylko cichym
szmerem się uśmiecha;
ona jedna taka sama,
jak, gdy zbrodnie kryła,
takie same czeskie wody
przed nami odkryła;
tylko, że to wielkie święto,
więc błękitu szaty
zrzuca z siebie i przywdziewa,

brylanty, szkarłaty;
i w ten strój koronacyjny
ubrana królewna,
płynie, płynie, ona sama
swej potęgi pewna.

Tak jak nasza ukochana
Wisełka w Krakowie,
gdy na Wianki gra w kolory,
aż się mieni w głowie.
Jakby całe blaski tęczy
dały jej niebiosy,
albo, kiedy połyskują
w słonku nasze kosy!
Nasze kosy! i proporce
czerwone i białe,
wszystko w Wiśle się odbija,
polskie wojsko całe!

Taka była ta Wełtawa,
podobną do Wisły,
że się ku niej wszystkie razem
polskie serca cisły!
Czechy widzą, — że się wstydzą
serca im pokrewne,
a więc stają — obracają
na nas oczy rzewne;
i ściskają, — i witają

tak — jakoś serdecznie,
jakby chcieli tym uściskiem
przykuć do się wiecznie.

Widzą nasi tę serdeczność
czeskiego narodu,
więc się cisną coraz bliżej,
do przodu — do przodu,
gdzie największe masy wreją
stawają ochotnie,
„Czołem“ krzyczą — raz i drugi,
a nawet stokrotnie.
„Czołem“! bracia krzyczy naród,
w taki zapał wpada,
że po czesku, każdy Polak
Czechom odpowiada!

Na Zofinie gra kapela
aż ją słychać w niebie,
same czeskie — polskie pieśni,
że niesłychać siebie!
a tu rojno, a tu gwarno,
a wszędzie czerwonych
pełno koszul — pełno czapek,
i piór podniesionych.

Oj! byłażto wielka chwila,
gdy nas w tym koncercie

powitali — uściskali,
to aż nad pojęcie!
W złotej Pradze całej rojno,
tak się wszystko tłoczy,
że nie wiedzieć, na co pierwej
obrócić masz oczy.
W każdem oknie blask się pali,
tysiące świec płonie,
elektryczne tam napisy,
tam znów — na balkonie
nasze godła — czeskie — polskie,
gałązki lipowe,
a tam, orły i lwy razem,
i liście dębowe.
Wszędzie widać oświetlone
Tyrszowe portrety,
i Fügnera widać twarze,
ubrane w bukiety.
Wszystko płonie ode blasków,
i w czarnym zenicie
gdzieś się gubi — a bez końca
to sokolskie życie!

Gdy wy do nas zawitacie,
do tej polskiej strzechy,
czy my was tak powitamy,
poczciwe wy Czechy?
Czy my aby potrafimy

oddać wam pół tego,
coście dla nas uczynili
śród ludu swojego?
Dzielne Czechy! waszej strzechy
nikt z nas nie zapomni!
u nas! u nas! z wami razem
wszystko się przypomni!
My wam za to, coście dla nas
w złotej Pradze dali,
pozwolimy, byście Wawel
stary uściskali.
Pokażemy wam relikwie
z których każdy dumny,
królów naszych i Kościuszki
pokażem wam trumny!
byście na nich położyli
pocałunek rzewny,
i ten uścisk nam nie obcy,
słowiański pokrewny.
Byście w naszem małem gnieździe
polskie serce czuli,
byśmy was do swojej mogli
przycisnąć koszuli.

III.

Słonko pierwsze już powstało
i w oczy zagląda
i woła nas, by pokazać
jak Praga wygląda
w tych promieniach brylantowych,
w tej złotej kąpieli
rannych blasków, — by Polacy
ten urok widzieli,
co tej Pradze złotą nazwe
prawdziwą nadaje,
i w kolorów całej fali
jak królowa wstaje.

Złote fale są Wełtawy,
złote dachy prawie,
kolorami tysiąc razy
mienią się w Wełtawie.

Tam mur Pragi — a wysoki,
a wielki — zielony,
to góra — a to Petrzinu
lasek umajony.
Na Petrzinie — wieża stoi

zamglona — daleka,
pod niebiosa gdzieś swym szczytem
żelaznym ucieka,
a pod lasem, Mała strona
jak nasze Podgórze,
tylko więcej dała złota
Praga swojej córze.
Tyle kopół rozmaitych
i dachów czerwonych,
wszystkie prawie w jeden kolor
cegieł ustrojonych.

Jeszcze dnieje w bożym świecie,
jeszcze świat zaspany,
a już wszędzie słychać jakby
bili w tarabany.
A już jadą — a już idą,
na górę, na Letno,
by zobaczyć — sił spróbować
w uroczystość świetną.

Wygładzili — wystrugali,
na wyniosłej górze,
całą ziemię, po pod wielkie
sokolskie podwórze.
Długie — długie — okiem sięgłe,
a takie szerokie,

że się w dali prawie gubią,
masy głów głębokie.
A trybuny strojne w kwiaty,
zielone festony,
i proporce — i chorągwi
czerwone ogony
wieją wszędzie — jak na pikach
kawaleryi naszej,
a lud krzyczy: „Czołem! Polsko!
Czołem! Polsce waszej!”.

Rwie się do nas czeski naród
chustkami powiewa,
a grad kwiecia na nas leci
jak wonna ulewa.
Gra muzyka z drugiej strony
w muszli nad trybuną,
a w koło nas szare masy
ledwo że nie runą.

Wyszli nasi, wyszli Czesi
i Francuzi wyszli,
na olbrzymie te zapasy
z różnych stron tu przyszli.
Krępe chłopy — jakby snopy
na naszym zagonie,
a obok nich, grzebią ziemię
niecierpliwe konie.

Jedni porwą wielkie kule
i ogromne drągi,
inni znowu rzucą przed się,
żelaznymi krągi.
Tylko widać jak się kurczy
i znowu wydyma
biały mięsień, gdy żelazo
w silnej pięści trzyma.
I zdaje się, że pokruszą
w dłoniach te żelaza,
a tu ciągle grzmią oklaski,
aż niebo powtarza.

Skoczą do się, walne chłopy,
aż się piasek — chmurą
wznosi w niebo — a już nasi
nad wszystkimi górą.
A już widać jak się pocą,
jak się mięśnie wiją,
ale polskie ręce pierwsze;
jak biją, to biją.
To już nasze się sokoły
najlepiej spisały,
i lipowe listki w walce,
naszym się dostały.

Ej! byłaż to radość — radość
na całem boisku,

a okrzyków — a wesela
nie policzysz w ścisku.
Ale Czechy — to Sokoły
to naród nie lada,
mówią, że się popołudniu
wojna zapowiada,
że wystąpi na tem polu
ze siedm tysięcy,
a i dzieci, i kobiety,
a może i więcej.
Będzie też to wielka chwila,
wielka radość będzie,
gdy tysiące chłopa stanie,
jak mur w jednym rzędzie.
A gdy nasi krakowiacy
z lancami wystąpią,
to się chyba pewnie nieba
radością rozstąpią,
jak to wojsko polsko-czeskie
pokaże się mężne,
chociaż ciche i spokojne,
chociaż nieorężne,
ale wielkie — ale śmiałe,
to wojsko sokole,
a przed sobą ma popisu
niezmierzone pole.

IV.

Słonko — blasków swych nieskąpi,
a grzeje — a pali,
a lud zewsząd się na Letno
zadyszany wali.
Już trybuny niepomieszczą,
już pękają prawie.
Głów tysiące.

Każda oczy otwiera ciekawie,
bo za chwilę, coś się stanie
wielkiego na Letnie,
bo wystąpi nasze wojsko
wyćwiczone świetnie.

Na najwyższem podniesieniu
ponad trybunami,
stanął sokół. Coś wskazuje
dwiema chorągwiami,
daje znaki tajemnicze,
śród zapartej ciszy,
że szmer nawet chorągiewek
nad głową się słyszy.

Na boisko — wpadł koń siwy,
a na koniu sokół.
Jak generał zmierzył okiem
bystrym plac na okół,
a tu chmura uniesienia
do niego się zrywa,
z miljon piersi krzyk się wznosi,
powietrze rozrywa.

Nad trybuną druh naczelnik
dał znak — i kapela
już zagrzmiała — a za chwile
śród krzyków wesela,
śród oklasków i wiwatów
na każdej trybunie,
wyszedł szereg biały — zwarty
i do środka sunie.
Białe wojsko w czarnych czapkach
i czarne do pasa,
idzie — idzie nieskończenie
jakby jedna masa;
a tak równo — śmiało idzie
tych siedm tysięcy,
że się zdaje, iż równina
pomieści ich więcej.

I obeszli kilka razy,
tuman kurzu wzrasta,

a z szeregów — już się przestrzeń
olbrzymia wyrasta;
już się łączy i znów wije
i staje jak wryta,
w okamgnieniu odstęp bierze,
ta masa rozwita.
Już ramiona rozszerzyła
na znak naczelnika,
i znów na znak — jakby piorun,
masa ramion znika.

I w tem jednem opuszczeniu
jakby jednej dłoni,
był karności wzór najlepszy,
co wszystko przegoni.

Stoi jak mur cała masa,
a w linjach tak prostych,
jak łan chmielu co się wije
na tykach wyniosłych,
a w tych tykach każdy odstęp
można przebiedz okiem
w każdą stronę — jakby cyrklem
zmierzon był wysokim.

Znów muzyka się odzywa
wolnymi taktami,
a w tej chwili cała masa

wywinie rękami;
blask ten ramion jak się zmieni
jak gra z koszul bielą,
jak się łączą te kolory
i w takcie się dzielą,
że się zdaje — że ci ludzie
jacyś wymyśleni,
niewidzialną ręką cudu
w życie poruszeni.

Znów się kurczą te tysiące
jakby na sprężynie,
która kiedy poruszona,
nagle się wywinie;
tyle pięści zaciśniętych
podnosi się razem
i znów znika gdzieś przy ziemi,
wraz za każdym razem.
A tu serca rosną — rosną,
i rwą się radością,
pragnęłyby wszystkich razem
obrzucić miłością.
Pragnęłyby wszystkich razem
uściskać za szyje,
boć to nasze — wojsko dzielne,
a więcej niczyje.
Mimowolnie serce mówi
z dumą o tej braci,

że nam kiedyś ta potęga
rąk wszystko zapłaci;
że nam kiedyś wszystkie krzywdy
odbije na wrogu,
bo ma pięści wyćwiczone,
a serce — po Bogu;
bo się śmierci nie ulęknie
Sokół z szarą głową,
a koszulę ma czerwoną,
już na krew gotową.

Co przestaną — znów się ruszą,
jakby każdy w stopie,
miał maszynę — jakby zegar
chodził w każdym chłopie.
To siadają — to znów stają,
i pięścią ci grożą,
czuć w tych ruchach coś wielkiego,
widać iskrę Bożą
co w tych piersiach cicho tleje,
póki niewybuchnie,
gdy ją kiedyś Bóg swem tchnieniem
do życia rozdmuchnie.

A jak skoczą — jak się rzucą
z wyciągniętą szyją,
to jak nasze kosyniery
gdy kosami biją.

A za chwilkę, już się porwą,
już stają w szeregu,
i taki sam ład, porządek,
od brzegu — do brzegu.

Koniec figur — więc naczelnik
dał znak — a z przestrzeni
rozwiniętej wnet się szereg
jeden w dwa zamieni.
Taki gęsty — taki zwarty
rozpięty jak struna,
idzie — idzie — rozwija się,
plecie jak korona.
I wyrasta sznur cielesny,
tylko blask ramienia,
błyszczy z dala — gdy się ruszy,
i z granatem zmienia.

A tu burza — krzyk się zrywa,
wybucha radością,
a my patrzym na tych dzielnych
okiem i — ...zazdrością.

Już odeszli a lud jeszcze
krzyczy — do nich rwie się,
zda się, że to uniesienie
powietrze rozniesie;
że się zduszą od radości

narodu tysiące,
aż kapele zagłuszyły
echa nie milknące
w swojej sile.

A za chwile znów nowe szeregi
płyną — idą — wypełniają
ramionami brzegi
tej przestrzeni jak stół gładkiej,
jak krakowskie błonie;
To pułk dzieci. — Same perły
w królewskiej koronie.

Idą — idą — maszerują
jak na krucyate,
pokazać nam swoje siły,
i podjąć zapłate
od rodaków, którzy na nich
z dumą spoglądają,
i od obcych, którym serca
od radości tają.

Ci malutcy w pierwszych rzędach
w koszulkach czerwonych,
w czarnych czapkach o czerwono
denkach wyłożonych,
a ci więksi — jak sokoły
u czapek z piórkami,

na pół czarni na pół biali,
z czarnemi laskami.

Jak podnieśli te ramiona
przy dźwiękach muzyki,
jak się obracać poczęły
wyprężone szyki,
jak ta chmura głów młodzieńczych
skłoni się ku ziemi,
to się naraz cała przestrzeń
jak makiem czerwieni.
A gdy błyśnie odblask ramion
w górę podniesionych,
Jak łan kłosów żytnich w polu
wiatrem pochylonych.
A tak wszystko w takcie idzie,
rzuca się na boki,
że z podziwu, mało dusza
nie wzleci w obłoki.

Dzielny naród! męstwa zaród
wpaja w młode ciało!
Oj! i u nas takiej szkoły
dużo by się zdało.
Oj! żeby to nasze dzieci
w tak zastępie licznym,
mogły stanąć kiedyś śmiało,
w popisie publicznym;

Oj! żeby to u nas dzieci
uczono za młodu,
że w sokolem szarem piórze
potęga narodu!
Dziecku żeby pozwolono
przygotować siły,
uczyć, że ma kiedyś kamień
podźwignąć z mogiły!...

Znowu będzie coś nowego,
bo naród się trąca,
i ciekawie przed się patrzy.
Już z piersi tysiąca
dobywa się szept co chwile;

znów kolumny kroczą
przeciwległe — ale ciemne,
ku sobie się toczą.
To kobiety.

Mocny Boże! ileż tu jest matek,
z których każda pierś truciznę
chowa dla swych dziatek;
a te dzieci zaprawione
trucizną na wroga,
pokazali, że prócz kraju,
mają miłość Boga.

Idzie teraz Czeszek zastęp,
po żołniersku kroczy,
a każda z nich patrzy śmiało,
każda — oko mroczy.
A każda z nich, dumna z tego,
że w Czechach wyrosła,
i że z gniazda sokolego
siły swe wyniosła.

Oj! żebyto nasze Polki
te krasne dziewice,
nie bały się, przywdziać czasem
sokole przyłbice;
i w szeregu zwartym stanąć
z laską, lub maczugą,
toby może ta niedola
niebyła tak długą;
toby może — nasze dzieci
nabrały ochoty,
i poznały, na co Bóg im
dał wiek młody — złoty.

Idą, idą — jak bez końca,
pułki granatowe,
a tak pewnie, jakby były
do walki gotowe!
tyle męstwa w każdem sercu,
błyszczy ogień w oku,

że bez końca naród rwie się
radością na okół.

Już stanęły — odstęp wzięły
już maczugi błysły,
jak na rozkaz czarodzieja
tysiące wytrysły,
a ramiona krągłe białe
ciągle się podnoszą,
wirują się — opuszczają,
to znowu podnoszą.
Tylko kurtki granatowe,
niebieskie, kołnierze,
grają w barwy. — To niewiasty,
matki i żołnierze.

Nikt im za złe to nie weźmie
że w szereg stanęły,
i maczugi, ciężkie może,
w drobne ręce wzięły.
One dumne — że się zowią
czeskie sokolice,
i że mogą przywdziać wspólne
ćwiczebne spódnice.

Na trybunie nasze Polki
klaskają we dłonie,
rwą się do nich — rozpalone
ocierają skronie.

Szepcą z cicha „dzielne Czeszki"
z wyrazem miłości,
a ja niewiem, czyli z dumą,
czyli też — z zazdrości.

A i u nas takie męstwo
kobiet by się zdało,
u nas jednak, jeszcze takich
sokolic — jest mało!
Zato w naszych Polek piersi
inne serce może
bije, — rośnie — inne tleją
iskry — wielkie — Boże!
Za to nasze dzielne Polki
do poświęceń zdatne,
i jak Czeszki dla ojczyzny
niemniej są przydatne.

Gra muzyka — wolno, smętnie,
nie walcową nuta!
ona czeska, wolna — żadna
niemczyzną nie skutą.
a ramiona białe — słabe,
tak wirują śmiało,
jakby w stal się przemieniło
to niewieście ciało.
Zda się, że im wcale w rękach
maczuga nie cięży;

żeby nawet się porwały
do ciężkich oręży!

Hej sokoły! z takiej szkoły
gdy wychodzą matki,
to nie trzeba nawet wrogom
czerwonej krawatki!
Ani kuli na nich trzeba,
sami się przelękną,
i pancerze im na piersiach
kiedyś strachem pękną.
Ani trzeba będzie kosą
ścinać im kaszkiety,
kiedy naród ma Sokołów,
i takie kobiety.

Popisy się już skończyły;
maczugi się sparły
na ramiona i znów długie
szeregi się zwarły.
Jak się ruszą te szeregi
umiarowym krokiem,
a jak zaczną się rozpadać
na polu szerokiem,
jak oddziały podzielone
na boki nie skoczą,
i już każde z nich przyrządy
na ramionach znoszą;

to się taka burza z trybun
oklasków wyrwała,
jakby Praga naraz w dłonie
uderzyła cała.

Na boisko wyszli obcy
biali gimnastycy,
niby jacyś wyćwiczeni
w cyrku najemnicy;
nie Słowiany — ani Niemcy,
więc naród ciekawy,
pyta, czyli ci też cząstką
sokołowej sławy?

Biały mieli strój dziwacki
cały — jak młynarze,
obce czapki, także białe
i obce nam twarze.
Jak skoczyli na przyrządy,
linoskoczki białe,
to już na nich się boisko
obróciło całe;
i podziwia każdy zręczność,
nieznajomych gości,
ale było widać dosyć
niechęci i — złości,
To Francuzi — nie Sokoły,
ale gimnastycy,

mówią, że to pono Czechów
wierni miłośnicy.

A Polacy patrzą, skoro
lance się pokażą,
i swą dumą staropolską
Francuzów porażą.
Patrzą -- patrzą — mimowolnie
w tył głowę zwrócili,
aż tu — jakby lwa na puszczy,
Moskali zoczyli.
Więc splunęli tylko ślinę
z najwyższej pogardy,
i na czapkach poprawili
czerwone kokardy;
czyli jeszcze z tej kokardy
nie porwał się sokół,
gdy Moskali obok siebie
w białych czapkach poczuł.

Matko Boska! krew się ścina,
idą, nasi — idą,
szeregami — plutonami,
każdy z długą dzidą,
idą nasi Krakowiacy,
nasi pikinierzy!
Polska takich na zlot w Pradze
posłała żołnierzy!

Czapki szare — piórko w góre,
czamary na sznurze,
taki kolor na koszuli,
jak na pikach w górze.

Błyszczą piki — szumią szyki
jakby malowane,
a to nasze są krakusy,
wojsko, ukochane!
A proporce u pik furczą,
mienią się do słońca,
a chłop w chłopa, jakby ulał,
od końca, do końca.
Równo idą nasze piki,
serce się raduje,
że to Polska swoją bronią
dziś się popisuje.

Słychać trąbkę głośno jednę,
jak surmę bojową,
nasi stoją — a proporce
drgają im nad głową.
Znowu trąbki słychać odgłos
i zagra muzyka,
a ta nasza każda lanca
z ręki się wymyka;
i na chwile z rąk Sokołów
wyrwać by się chciała

ku trybunie, gdzie Moskali,
mała garstka stała.

Jak się nasi nie wywiną
ramionami w boki,
to się skurczą to się zerwą
w jednej chwili w skoki,
tylko stal na lancach miga
w słońcu zachodzącem,
a tu serce bucha ogniem
co chwile gorącym;
a tu dusza rwie się z ciała
i pięść się zaciska,
a stal nasza — się wywija,
dyamentem błyska.

A jak nasi przyklękneli
jakby do modlitwy,
jak ułany w legionach
do zażartej bitwy,
i nie widać, czy się modlą,
czy piki naostrzą,
a tu Czesi się radują,
Krakusom zazdroszczą.

Znów się porwą nasze lance
i bodą na boki,
jakby chciały świat dla Polski
otworzyć szeroki.

Coraz częściej, coraz gęściej
miga stal kończysta,
rozigrana, zapalona,
jak dusza ojczysta;
a muzyka gra na nutę
bojowej piosenki,
i proporce tylko szumią,
lance rwą się z ręki.

Pokazali nasi Czechom
ten taniec kozaczy,
że Krakusy nie żartują,
gdy im się coś znaczy;
że jak biją — to nie żarty,
pięści mają zdrowe,
a na czapkach mają tylko
orły narodowe.
A na piersiach mają puklerz
bez najmniejszej blizny,
wytrzymały — jak ze skały,
to miłość ojczyzny.
Miłość Boga — żadna trwoga
serca im nie starczy,
piersi krzepi — coraz lepiej
duch nadziei łaszy.

Jak te lance pochwyciło
sto sześćdziesiąt pięści,

to drży każde polskie serce,
czyli się poszczęści.
Czyli pierwszy popis śmiały
na obcym zagonie,
w małej garstce śród tysięcy
wstydem niezapłonie;

Ale Sokół — gdy przed sobą
stal kończystą widzi,
to już chyba, że umyślnie,
jeźli się powstydzi.
To już Bóg się sokołowi
shańbić nie pozwoli,
gdy go stworzył w polskiej chacie
i z polskiej niedoli;
to Bóg lancę polską dawno
przed Sokołem wsławił,
i gdzie polska lanca błysła,
tam jej błogosławił.

Znów się złączy jeden szereg,
toczy się jak kula,
a tu Czesi krzyczą: „Jeszcze
Polska nezhinula"!
„Nazdar! bratia! Czołem! Czołem!
„At žijou Polacy"!!
a szczęśliwi nasi idą
w zwycięzstwie po pracy!

Krzyczy naród, bije w dłonie,
zachwyt w koło rośnie,
a tu dusza rwie się do nich,
śmieje się radośnie.
Echo jeszcze po za nimi
uniesienia goni,
Polska dumna! bo Bóg szczęści
jeszcze polskiej dłoni.

V.

Wczesnym rankiem, już się Praga
olbrzymio zaludnia,
ścisk narodu niewidziany
ruch wszelki utrudnia.

W każdem oknie, widać same
głowy w kwiaty strojne,
na ulicach masy ludu,
gwarne, niespokojne;
aż na dachy ludzie wleźli,
i patrzą ciekawie
i pęk kwiatów — pęk zieleni
każdy trzyma prawie.

Najeżył się las chorągwi
na słupach wysokich,
każdy dom się od festonów
zieleni szerokich.
Pełno kokard narodowych
wszędy strój świąteczny,
z każdej twarzy tryska radość
i wyraz serdeczny.

Muszą naród trzymać w rzędzie,
bo się falą tłoczy;
głowa, po nad głowę rośnie
i otwiera oczy.

Złote słonko rzuca z góry
gorące promienie;
a tu coraz głośniej rośnie
gwar i uniesienie.

Nadszedł rozkaz naczelnika,
więc rosną plutony,
cały zastęp już gotowy,
szary, a czerwony.
Sztandar muska zieleń drzewa
na nim sokół ryty,
i Maryi obraz ciemny,
jedwabiem wyszyty.
I cieszy się Matka Boża,
że Sokół ma wiarę,
że Jej lica ciemne wrogom
niesie dziś na karę.
I zdaje, że z sztandaru
do nas się uśmiecha,
więc w strapieniu w Jej Obliczu,
to każda pociecha.
To już jakoś lżej na sercu,
gdy sztandar nad głową,

a w sztandarze — Matka Boża,
z koroną piastową.

Idą — idą Krakowiacy
i Wielkopolanie,
a niech teraz grad kul leci,
niech się co chce stanie!

A tu naród jak się porwie,
jak krzyknie z radości,
jeden drugich chce wyścignąć,
w powitaniu gości.

Przyszli nasi i stanęli,
a tam — hen za nimi,
niezliczone pułki stoją
rzędami długimi.
Wszystko się przygotowuje
do wielkiej parady,
zda się, że ich nie pomieszczą,
wielkie Winohrady.

Dano naszym pierwsze miejsce
w tym wielkim pochodzie,
takie pierwsze, jakie mają
w słowiańskim narodzie.
A przed nami oddział konny,
Podlipny na czele,

oj! pamiętać będzie Praga
długo tę niedziele!

Stoją nasi, stoi Fiszer
i nasz Durski stoi,
a za nimi las sztandarów
barwistych się roi.
Za konnicą stoją nasi
i nasza starszyzna,
a na drążku widać napis;
to nasza Ojczyzna!
Widać napis; a to nasza
Polska ukochana;
czerwonemi literami
w bieli wypisana.

„Polska idzie!“ mówią Czesi;
grzmot dział się odezwie,
a za chwile, nasz naczelnik,
do baczności wezwie.
I już kroczy cała masa,
Już słychać tententa.
I przed nami i za nami,
czuć — początek święta.
A tu tylko czapki w góre
wznoszą się co chwile
i okrzyki tylko słychać
w nieborosłej sile.

Miljon chustek, miljon czapek
drga ponad głowami,
a my za to dziękujemy
naszemi piórami.

„Jeszcze Polska nie zginęła!“
rwie się z każdej piersi,
patrzcie! patrzcie! to Polacy
nad wszystkimi pierwsi.
Pierwsi idą — jak żuławy
na ogień działowy,
jakby puklerz dziś wybrany,
Sokoli — pułkowy.

Idą, idą, bezustannie
nasze dzielne chłopy,
a tu końca ani widać,
pełne już Przykopy.

Weszli już na wielki rynek,
przed ratuszem przeszli,
a tu popod baldachimem,
ojcowie się zeszli.
Oj! ojcowie złotej Pragi
z burmistrzem na czele,
by powitać swoich braci
w te wielka niedziele.
W środku samym tej starszyzny,

sam burmistrz w czamarze,
z łańcuchem złotym na szyi
Czechom się pokaże.
Obok niego, w narodowych
strojach stoją radni,
a Serbowie strój przywdziali
złocisty — paradni.

Błyszczą złotem Czarnogórcy
błyszczą kamieniami
i Kroaci między nimi
z szaremi kurtkami.
A francuscy gimnastycy
w koszulkach ćwiczebnych,
z modrą szarfą po przez piersi,
w kaszkietach haniebnych.
I Moskali znać z daleka
po czapkach z daszkami,
a i oni kłaniają się
Polakom czapkami.

A i oni dziwują się
tej olbrzymiej sile,
która rośnie coraz więcej
na rynku co chwile.

Nasi stoją w zwartym rzędzie,
a tu nowe masy

płyną — jakby z grobu wstały
kościuszkowskie czasy.
Jakby nasz Wódz cały naród
wezwał na powstanie,
i zdaje się, że się w Pradze,
coś wielkiego stanie.

Idą — idą, już godzine
i jedną i drugą,
a tu ciągle nowi kroczą
kolumnadą długą.
A tu nowa gra kapela
i rynek się ludni,
nieskończone pułki idą,
jak woda ze studni;
i co jeden oddział przyjdzie,
to zaraz chorąży
koło Polski sztandar stawia;
i wnet ją okrąży
las barwisty, a błyszczący,
jedwabny, a złoty,
a było ich trzysta z górą
misternej roboty.

Polska stoi otoczona
Czechów sztandarami,
jak relikwia nieskalana
żadnymi grzechami.

Polska stoi! Za nią w koło
las sztandarów miga;
a tu w ciele każda żyła
prawie że się wzdryga.
Tak nas jakoś obstawili
sztandarami w koło,
że się z oka łza wyciska,
radośnie, wesoło.

Już się kończy wielki pochód,
i konnica jedzie,
stoi wiara jak wyryta,
starszyzna na przedzie.
Wiatr porywa krasne wstęgi
błyszczy złotem w oczy,
aż tu nagle — na koniku
Podlipny poskoczy;

Zaraz cisza zapanuje,
każdy słuch natęża;
by choć słowo mógł usłyszeć
kochanego męża.
Więc Podlipny czapkę zdejmie,
i przemówi pięknie,
że się Czechom oko rosi
łzą i serce mięknie.
Jak przemówi o Sokole,
o wielkiej idei,

że się zdaje, iż głos jego
leci gdzieś do kniei,
że w Petrzinie go już słychać,
a Wełtawy fale
niosą z głosem, narodowe
same skargi — żale.
A te skargi — ten hołd wielki
w górach się odbiją,
i gorące — nie zgojone,
w całych Czechach żyją.

Potem Pradze dar złożyli,
a burmistrz odpowie,
że już naród zna ideę
sokolą w połowie;
Że wnet Czechy wielkie, całe
staną do szeregu
sokolego — i obejmą
kraj z brzegu — do brzegu.
Wtenczas naród po swe prawa
wyciągnie ramiona,
i zabłyśnie całym blaskiem
Wacława korona!

I nasz Fiszer od Polaków
złożył hołd sokoli
i powiedział która rana
najbardziej nas boli.

I powiedział tak serdecznie
jak gdy Sokołowe
na Zofinie oddał srebrne
gałązki lipowe.
Wianek srebrny — z lipy wity
mieniący się cały,
a na wianku we dwu tarczach
lew i orzeł biały.

Ucieszył się bratni sokół
z podarku polskiego
i uścisnął czeski hetman,
hetmana naszego.

Przestał mówić wódz naczelny
polskiego sokoła;
aż tu zagrzmi narodowy
czeski hymn dokoła;
Gra muzyka — wszystkie czapki
wznoszą się do góry,
i zagrzmiały, jakby jeden
głos — tysięczne chóry.

Niebo niesie po swym sklepie
nie milknące echa,
czeskiej pieśni; — na kraj cały
pieśń wielka ucieka;
i porywa wszystkie serca,

każde tętno grzeje,
budzi męstwo — budzi życie,
a w duszy — nadzieje.
Słychać w pieśni tej modlitwe,
czuć boleść tęsknoty,
to też fale jej tak lecą,
jak słońca blask złoty.

Lecą, lecą — na kraj cały,
jak pieśń legionów,
śmiała, młoda zawsze — skrzydłem
sięga gdzieś do tronów!!
„Hej Słowianie! jeszcze nasza
„słowiańska rzecz żyje!!"
grzmi dokoła — pieśń pokrewna,
serce raźniej bije.

Pieśń ustała — masa cała,
ludu się porusza
i nastała jakaś dziwna
przygnębienia głusza....
tylko szelest poruszonych
sztandarów dolata,
jak spokojna nasza idea
sokola — skrzydlata....

Ruszają się szare masy,
każdy sztandar złoty

szuka swego pułkownika,
szuka swojej roty.
A gdy stanie, to już stoi,
ani się nie ruszy,
choćby kule świsły w niebo,
z armat po za uszy.
Idzie pierwszy pułk sokoli,
dwóch chorążych kroczy,
prezes i naczelnik w środku,
a u wszystkich oczy
w prawo na nas obrócone,
sztandar pochylony,
a na przedzie w kwiaty strojny
ich napis czerwony.

Obok drążka z godłem gwiazda,
błyszczą dwa pałasze,
znać, że Czesi mają inne
zwyczaje — nie nasze.
U nas sztandar, nietykalny,
przed szeregiem niosą,
ni chorąży nie śmie dotknąć
drzewca ręką bosą!
I wybrany, kto ten sztandar
podpiera ramieniem,
to przed plamą go ochraniać
musi swem sumieniem.

Czesi znowu zda się, napis
cenią w pierwszym rzędzie,
kiedy strojny, przed sztandarem
niosą pierwszy wszędzie,
kiedy obok niego błyszczą
rapiery dwa duże
i pilnują tego godła,
jak żelaźni stróże.

Idzie — idzie szereg długi,
pułk, z pułku powstaje,
a sztandarem, każdy pokłon
przed Polską oddaje.

Musi to być przecie wielka
ta Polska kochana,
gdy z sokolich gniazd najpierwsza
stanęła wybrana.
Kiedy przed nią ugiął czoła
czeski sokół stary;
i pochylił przed tą Polską
do ziemi sztandary.
I pałasze spuszczone
przed Polską się mienią.

Czyż nie kochać tej Ojczyzny,
gdy ją obcy cenią?

Gdy czternaście Jej tysięcy
uderzyło czołem,
pragski sokół oddał pokłon
przed polskim sokołem.
A gdy Polska tyle wierzy
w sprawiedliwość Boga,
to już musi kiedy nadejść
ukaranie wroga.
To już sokół na ramionach
podniesie Ojczyznę
i zamaże na Jej piersi
czarną od pęt bliznę!

Wielki rynek opróżnił się;
naród się rozchodzi,
na ratuszu wielkiej sali
starszyzna się schodzi,
Cała Rada złotej Pragi,
burmistrz Srb na czele,
i Francuzi i Moskale,
Czechów przyjaciele.
Czarnogórcy w krasnych strojach
i szarzy Kroaci,
dzisiaj Praga na ratuszu
gości sercem płaci.

Mówi burmistrz długą mowę
dwoma językami,

wita wszystkich i dziękuje
złotemi słowami,
a gdy skończy, jakiś Moskal
przemówi z oddali....

Aż tu nagle, cała Polska
zniknęła ze sali.
Każdy tylko wzrokiem w oczy
Moskalowi błysnął
i w zachwycie tej przemowy
obie pięście ścisnął.

VI.

Wyszedł Chrystus na zegarze
z dwunastu uczniami,
i zadzwonił dzwon odwieczny
trzema godzinami;
śmierć za linę pociągnęła,
świat się śmierci zlęknie,
sygnaturka dziwnym głosem
żelaznym zabrzęknie,
poruszą się apostoły,
kur z zegaru krzyknie,
i za chwilę, widowisko
zegarowe zniknie;
herby tylko błyszczą w koło
w różnorodne barwy,
a w około kryje ratusz
kolor czarnej larwy.

Dziwny kontrast z niebem tworzy
ten pałac ciosowy,
cały czarny, pleśnią wieków
pokryty do głowy.
A na przeciw dwie wieżyce
z kończystymi dachy,

to świątynia; zaś koło niej,
starożytne gmachy,
takie stare jak ten ratusz
dumają zgrzybiałe
i choć wielkie i barczyste,
to przecież są małe.

Okoliły wielki rynek,
na którym przed chwilą
stanął cały kwiat sokoli
siłą — liczbą tylą;
gdzie nie dawno było pełno
mów i uniesienia,
teraz wszystko z oczu znikło,
skryło się w wspomnienia;
tylko szemrze taka sama
falami Wełtawa,
i ta sama rozpostarta
wielka niebios nawa.
I te same ciemne góry
lasem dominują
i te same na Hradczanach
dachy połyskują.

Na Hradczany wiodą schody
kamienne — wysokie

tarasami podzielone,
sześć metrów szerokie.
A z Hradczanów całą Pragę
widzisz jak na dłoni,
jakby szczytem dachów, zamek
dotknęła do skroni.

Złota Praga rozsiadła się
nad modrą Wełtawą,
a ta płynie jak przed wieki
z taką samą sławą;
z taką samą dumą płynie,
kiedy zamek minie
i tę dume niosą fale
po czeskiej krainie.

Zamek wielki, pomnik sławy,
jak Wawel kochany,
a w pośrodku kościół Boży
od wieków stawiany.
Dwie gotyckie wyrzeźbione
wznoszą wieże szczyty,
każdy kamień aż do krzyża,
misternie wyryty.
Całość sklepień, łuków mnóstwo
gotyckich, a drobnych,
co sklepienia podpierają
do skrzydeł podobnych,

las wieżyczek najeżony;
z kamienia białego,
wszystko to z Kolońskim tumem
coś prawie wspólnego;
Jakby obie te świątynie
jedna dłoń stawiała,
jakby Praga od Kolonji
tych wież pożyczała.
A w kościele starożytnym,
aż się w głowie mieni,
całe ściany wyłożone
od czeskich kamieni.

Przecież nasza na Wawelu
katedra nam droższa
i od pragskiej — wewnątrz murów
w skarby nie uboższa.
I nasz Wawel, ten relikwiarz
Pradze nie ustąpi,
bo co Pan Bóg Polsce daje,
to już nie poskąpi.

Dał Bóg Pradze Nepomuka,
dał nam Stanisława,
a to nasza chluba Polski,
a to nasza sława!
Na Hradczanach są pomniki
narodu czeskiego,

na Wawelu, droższe szczątki
rodu królewskiego.
Nasi Święci — i waleczni
królowie — hetmany,
nasz Kościuszko leży w trumnie,
i Wieszcz ukochany.

To nam takich skarbów Polski
Praga nie oślepi,
a w tych grobach, jakoś wolniej
jest sercu i lepiej.

Tam w pałacach wielkie sale,
a zdobne, olbrzymie,
w każdej sława Przemyślidów
letargicznie drzemie.
Jedna, na sześćdziesiąt ośm
metrów — a szeroka
dziewiętnaście metrów z górą,
trzynaście wysoka.
To hołdowna sala pierwsza,
Władysława zwana,
w niej to, głowa odbierała
hołd — koronowana.
Jeszcze sklep umalowany
w kolorowe freski,
kolor jeszcze jak nietknięty,
złoty i niebieski.

Jeszcze widne wielkie zwite
na sklepieniu róże;

Oj! żeby to na Wawelu
królewskie podwórze
w takim stanie utrzymano,
wyczyszczono z śmieci....
choć to także biednej matki
owdowiałej dzieci.

Za hołdownią — duża sala,
„tronową“ nazwana,
takim samym, jak przed wieki
kolorem ubrana.
W samym środku, w podniesieniu
tron królewski stoi
między dwoma witrażami,
naprzeciw podwoi;
tron królewski purpurowy
złotem ramowany,
nad nim lew — w czerwonem polu
w ścianie wmurowany.
Niżej tronu, szereg ławek
wysokich, czerwonych,
a na ścianach kilka małych
sztandarów zwieszonych.
To pamiątki ochotników
studentów we wojnie,

teraz dumne, obok tronu
czekają spokojnie.
A tron pusty, puste ławki,
posłowie wymarli,
tylko jedna myśl skrzydlata,
nigdy się nie skarli.

Na Hradczanach tron nietknięty
stoi, chociaż próżny,
i swobodny i dostępny
ogląda podróżny.
Na Wawelu, sala tronów,
Jagiellonów sala,
okradziona świętokradzko
w brudzie dziś się wala.
Miast marmuru, zabranego
ręką nieskaraną,
słupy z drzewa, hołdów sala
dziś cała zasłaną
rzędem pultów — instrumentów
muzycznych, mosiężnych,
wojsko plami każde miejsce
monarchów potężnych.
Tylko że to także syny
wzięte z naszej roli,
to już tyle lżej się zdaje
i mniej serce boli.

To lżej będzie Wawel w dawną
już ubrać sukienkę!
a Bóg nigdy miecz nie skarze
ślepy — ale rękę!!

Wyprowadza nas przewodnik
w liberyi zamkowej
z sali tronów, do komnaty
zwanej urzędowej.
I patrzymy przez to okno,
z którego wzburzony
naród, zrzucił urzędników
cesarskiej korony.
Stoją krzesła, stoją stoły
i kufry żelazne,
w których kryli niegdyś skarby,
dokumenta ważne.
A na ścianach wiszą twarze
królów malowane,
o przeszłości tej komnaty
wielkiej — zadumane.

Patrzą Czesi — pełno myśli
w głowach im się roi,
każdy patrzy w królów twarze,
a zbliżyć się boi.
Wszystko jednak utrzymano
z dawna doskonale;

najwspanialsze na Hradczanach
to królewskie sale.

Jedna sala, na czterdzieści
ośm metrów długa,
taka sama, ale szersza
i wyższa jest druga.
Ta, rycerską salą zwana,
służyła na bale,
to też jeszcze dziś wygląda,
królewsko — wspaniale.
Wzdłuż, czterdzieści ośm metrów,
dwanaście wysoka,
na dwadzieścia cztery metry
ta sala szeroka;
Ściany, z luster; wielki sufit
wcale nie sklepiony,
nie podparty jakim słupem,
rzeźbią wyłożony.
A u stropu, pełno złotych
świeczników się mieni,
i odbija się w parkietów
tysiącu deseni.

Dwa tysiące świec oświeca
tę salę gipsową,
a gdzie spojrzysz, to się spotkasz
z nową swoją głową.

Jedna ściana podzielona
dużemi oknami,
reszta z luster ułożona,
odbija i mami.
Choćby złota Praga kiedyś
w prochu się ukryła,
toby w salach tych olbrzymich,
cały przepych skryła.

Koło gmachów na Hradczanach
rozkoszne ogrody
zielenią się drzew tysiącem,
jak wiejskie zagrody,
a na okół widać wieżyc
granitowe kanty,
jakby w murach tych zasadził
kto krakowskie planty.
A w ogrodach poza zamkiem
Ferdynand postawił,
dla swej Anny letni pałac,
bogactwem go wsławił.
Zdala widać śród zieleni
Belwederu dachy,
jak kopułą dominują
ponad Pragi gmachy.

VII.

Leci — leci chmura ptactwa,
pełno tam uciechy,
jakby z wiosną z ciepłych krajów
wracała pod strzechy.
Pod te strzechy sielskie — swojskie
wracają sokoły,
coś nowego z sobą niosą
z czeskiej — wielkiej szkoły.

Lecą — lecą sokołowie
z kokardą na piersi;
dumni, że śród tyla ludu
oni byli pierwsi
i że także swoje siły
Czechom pokazali,
a oni ich pono za to
bardzo pokochali,....
bo im wszędzie gościnności
otwierali wrota
i ściskała Polskę naszą
cała Praga złota.
Polska czuła pokrewieństwo
Przemyśla i Lecha,

więc też coraz większa w duszy
sokolskiej uciecha,
więc też Czechy ich żegnają
jak kiedy witali,
tak, jak gdyby na niedługo
te mury żegnali....
jakby chcieli wmówić w siebie
tajemnicze hasło,
gdzie się wkrótce zejdą razem....

Zanim słońce zgasło
na zachodzie, — powróciło
wojsko sokołowe
umajone — ustrojone
w gałązki lipowe,
jak zwycięzcy; a ta Polska
nasza ukochana
jakże była sokołami
swemi zradowana!

„Kraków! Kraków błyszczy w dali!“
zerwą się okrzyki,
a dajcież nam do rąk flinty,
dajcież nasze piki,
bo tam wieża maryacka,
gród Piastów w oddali,
a niechże nam serce w piersi
uciecha rozwali!

Hej! słyszycie? hejnał słychać
na wieży w Krakowie!
niechże teraz świat się cały
o tej Polsce dowie,
niechże teraz gryzą palce
rozbestwione gady,
bo gdy Polska taka wielka,
to i nie ma rady!

Hej panowie! czy wy wiecie
czyje to są dzieci
takie szare? co za ptactwo,
co z Czech do was leci?
Hej panowie! hej magnaci
co tą prostą wiarą
pogardzacie i czamarą
wstydzicie się szarą
odziać kości staropolskie!
A wiecie wy — czyje
serce po pod tą koszulą
krwawą głośno bije?
a wiecie wy — czyje serce
kochać ma z tą wiarą
tę Ojczyznę — taką drogą,
a taką prastarą?
A to serce takie same
jak chłopskie przy roli,
i tak samo go raduje,

wszystko, jak i boli....
i to samo serce wasze
krew przelewa laszą,
ale tamto serce, obce
siły nie przestraszą,
ale tamto proste serce
jak kocha — to kocha,
to i więcej nie kochało
i serce Wielocha!

Oj! czemuż to u nas jakoś
inaczej się dzieje,
inaczej nam serce bije,
inny duch tu wieje!
chcą Ojczyznę dźwignąć nasi,
chcą ją ze snu budzić,
a oni chcą naszą wiarę
prastarą ostudzić....
Porywa się moc proroków
z przepowiednią nową,
gardzą nami, gardzą Polską,
gardzą — Częstochową!....
Lud gołębi bałamucą
trybuni fałszywi,
a im wierzą łatwowierni,
wierzą, — nieszczęśliwi!....

Hej panowie! naród czeka
na większą ofiarę!
chłopek biały pragnie przywdziać
wraz z wami czamare!....
a on czeka światła prawdy
i rwie się do czynów!
przygarnijcie do swej piersi
pogardzonych synów!....
oni wierzą — i uwierzą,
bo oni kochają
takiem samem polskiem sercem
i na was czekają.

Lecą — lecą sokołowie
od swoich do naszych,
śród wawrzynów, śród uniesień
do swych gniazdek laszych,
a tu patrzą na nich z boku
Rusy i Krzyżaki,
a dziób ostrzą, ostrzą szpony
nasze szare ptaki,
a ta Polska drży z radości
i czeka i czeka!....

Gwiazdka świeci gdzieś w przestworzu
dla nas nie daleka;
jasno świeci nam jutrzenka
przyszłości świetlanej,

niechże jasno będzie zawdy
w Ojczyźnie kochanej!

Rozlecieli się sokoły
po całej krainie,
a za nimi rozmachana
idea płynie — płynie;
sięga szczytów wież Wawelu
i mury zdobywa,
nieskalana — wielka — święta
potęgę dobywa,
wszystkich razem pragnie złączyć,
lud do siebie woła,
w jedno chce ująć ognisko
wielkie świata koła.
Zagląda w zamku podziemia,
pada na ołtarze
modlitwą, — zimne rozjaśnia
w trumnie królów twarze.

Drgają martwi monarchowie
i podnoszą głowe,
dziwują się tej potędze
i twarze surowe
szczęścia uśmiech im rozjaśnia.
Kościuszko sędziwy
podniósł głowę, szuka szabli,
włos poprawia siwy

i raduje się, że sztandar
racławicki niosą,
i że stoją szare chłopy,
jak na żniwo z kosą;
więc się cieszy nasz naczelnik.

Piasty, Jagiellony,
widząc jakieś nowe hufce,
sięgają po trony,
błogosławią szarem piórom,
tchną w nie męstwa zaród,....
a tu rwie się cała Polska
i rusza się naród,
chce on ludom zdrowy mięsień
wyprawić w ramionach,
by żelaza nie wypuścił
z nich nigdy. A w szponach
silnych trzyma sztandar wielki,
na nim orzeł biały,
już gotowy, już czerwony,
gotowy na strzały.

A lud wierzy — coraz szerzej
idea się rodzi,
za nią wstaje silny naród,
nowe słonko wschodzi.

Świeć nam słonko na te ziemie
olbrzymią — daleką,
i ten sokół niech się dźwiga
miłością głęboką.
Niech ten naród pogardzony
zrzuci czarny kabat,
a obszyje swą szermięgę
w nowy krwawy rabat,
lub czamarę szarą weźmie,
kosy na drąg wbije,
to Ojczyznę brzęk ich zbudzi
a wolna — ożyje
i żyć będzie.

Hej sokoły!
ramię do ramienia!
opaszmy swojskie ognisko
grzechami sumienia,
nieśmy światło — krzepmy ducha,
to grzech grzechy strawi,
a Bóg na nas zagniewany
nam pobłogosławi!

Jedności! — jakażeś wielka!
wstąp w dusze drgające,
ogarnij swojemi pióry
serca nie stygnące,
dodaj siły, — łącz nas, święta!

a wypleń prywate!....
niech czamarę wdzieją barki
te wielkie — bogate;
Wszczep nam w żyły poświęcenia
najwznioślejszy zaród,
a Ojczyzna musi powstać,
musi ożyć naród
ten prastary — mężny, wielki
od morza do morza,
a w tem wielkiem przebudzeniu
będzie ręka Boża.

Hej sokoły! — w górę czoło!
ramię do ramienia!
niech się cały świat ideą
naszą opromienia,
niech ją ci, co nami gardzą
przyjmą pod swe dachy,
wtenczas pierwsza będzie w świecie
Ojczyzna i Lachy!
Jak tam w Pradze, — przed tą Polską
świat miejsca ustąpi,
bo co Pan Bóg Polsce daje,
to już nie poskąpi!!

Pisałem w Jaśle w lipcu 1901.